ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej i wiadomościom literackim.

Rok VIII. Warszawa, dnia 17 czerwca 1916 roku. № 25.

Z martyrologii polskiej.

1

I.

Powstanie za Bajkałem.

W czerwcu 1866 r. na wschodnich krańcach Sybiru kilku zesłańców polskich, których energii nie złamać nie zdołało, siejąc gorące słowa nadziei na rozpacznym gruncie wygnania, wywołało zbrojny wybuch kilkuset powstańców. Celem ich było odzyskanie wolności. Planem przedarcie się z bronią w ręku do Buchary, wówczas będącej w wojnie z Rosyą, albo do Chin. Wedle Przyborowskiego plan ten był niemożliwy do wykonania, zwłaszcza ucieczka przez Chiny, zawsze bowiem chińczycy zbiegów łapali i dostawiali władzom syberyjskim za groszową zapłatę. Tem mniej mógł się udać taki plan, przedsięwzięty bez broni, bez żywności i bez map, w kraju dzikim i małoludnym. Przywódcy jednak osądzili, że „co wszczęła rozpacz, to dokona męstwo". A szeregowcy mniemali, iż „lepsza śmierć bohaterska od haniebnej niewoli". Jakoż plan się nie udał. To powstanie za Bajkałem, jeden z wybitniejszych momentów polskiej determinacyi, miało różne a smutne skutki. Obciążyło ono nowemi więzami wszystkich polskich zesłańców, nad którymi odtąd zapanowała wyjątkowa srogość i straszliwa nędza. Większości katorżników nałożono teraz kajdany; osiedleńców wydalono z miast, rozrzucono ich po wsiach i oddano chłopom pod nadzór; zesłańcom konfiskowano posyłki z kraju. Wybuch 1866 r. miał także doniosłe skutki polityczne. Przychodził on jakby atut w grze „diejateli", Czerkasskija, Milutina, Katkowa, którzy zdołali wkońcu przekonać Aleksandra II, iż „polacy są niepoprawnymi buntownikami"; w ten sposób system rosyjski popowstaniowy, zasadniczo polakom wrogi, stał się normalnym i przetrwał — aż do ewakuacyi.

Mamy polskie i rosyjskie źródła do Powstania za Bajkałem. Są pamiętniki powstańców i urzędowy raport gubernatora Irkuckiego. Jest i krótka zapiska oficera rosyjskiego, który do rozmiarów walnej bitwy podnosi starcie licznego i regularnego wojska z garścią zrozpaczonych i niemal bezbronnych polaków. Idea powstania na Sybirze w kilku polskich głowach zaświeciła równocześnie i przez kilka miesięcy propagowano ją czynnie w paru ogniskach zesłańców. Dostała się i do rosyjskich nihilistów. Ci zaproponowali: „Pójdziemy razem!" Ale ta myśl sympatyi w polskich kołach nie obudziła. Nie chciano od rosyan niczego, nawet pomocy. Dwoma przywódcami ruchu byli: Celiński i Szaramowicz. Pierwszy miał już pod pięćdziesiątkę; wywieziono go na Kaukaz za 1848 r., tam dosłużył się stopnia porucznika saperów, wrócił do kraju i w 1863 r. organizował powstanie na Ukrainie, za co skazano go na dwanaście lat katorgi. Drugi był 26-letnim młodzieńcem, słynnym z tego, że za pomocą podkopu usiłował wydobyć się z więzienia w Kijowie. Dwaj przywódcy porozumieli się z sobą i postanowili wykonać wspólnie omówiony plan w lecie, skoro katorżników wyślą na roboty za Bajkał dla budowy kolei okrężnej. Około tysiąca nieszczęśliwych przyjęło w zasadzie plan Celińskiego przedarcia się zbrojnie do Chin.

Ale wkrótce stanęła pierwsza przeszkoda. Ledwie rozpoczęła się wysyłka katorżników za Bajkał, w partyach po 60 do 100 ludzi, gdy przyszedł z Petersburga manifest, wydany z okazyi ocalenia Aleksandra II przed zamachem Karakozowa. Manifest zmniejszał do połowy karę katorgi, a wielu darowano ciężkie roboty i zmieniono je na osiedlenie. To ostudziło niejednego spiskowca. Temu i owemu błysnęła nadzieja, przy nowym manifeście, powrotu do kraju. Celiński nie wyrzekł się jednak swego przedsięwzięcia. 20 czerwca z Miszychy, za Bajkałem, gdzie się znajdował z partyą katorżników polskich, wysłał do „starostów" partyi poblizkich rozkaz tej treści: „Co raz się postanowiło, trzeba spełnić; odwlekać niepodobna; powstać musimy, ja zaczynam; Arcimowicz ma natychmiast iść spiesznie ku północy; stosujcie się ściśle do tego, odpowiedzi nie czekam". Powstał więc Arcimowicz z 50-ciu skazańcami, rozbroił żołnierzy, zabrał im broń i żywność, a buryatom, wiernym rosyjskim sługom, konie. Szaramowicz również wezwał skazańców do powstania, trafił na rozłam, więc tylko z posłusznymi ruszył na spotkanie Arcimowicza. Połączone partye liczyły ledwo osiemdziesięciu dzielnych. Po drodze, zabierając broń i konie na stacyach pocztowych, utworzono oddział kawaleryi pod wodzą Eljaszewicza. Wszyscy szli do Miszychy na północ, stosownie do rozkazu Celińskiego.

Ten ruch krytykują polscy strategicy. Skoro raz zdecydowano się na czyn wojenny, należało iść na południe, ku granicy chińskiej, jaknajprędzej. Celiński powinien gonić Szaramowicza, a nie Szaramowicz robić paręset wiorst w celu spotkania oddziału Celińskiego. W dodatku Celiński, podniósłszy sześćdziesięciu powstańców, nie czekał w Miszysze na Szaramowicza, ale wyruszył, z czem miał, w tem i trzydziestu konnych Eljaszewicza, do większej osady portowej, Pusolska, leżącej na wielkim trakcie wschodnio-syberyjskim. Był to punkt pierwszorzędnej wagi, ale, niestety, został on już zajęty przez wojsko kapitana Rika. Rosyjskie władze wyjątkowo w tej

„wojnie“ działały szybko i stanowczo. Co miał robić Celiński? Na radzie wojennej postanowiono czekać na oddział Szaramowicza. „O samym świcie, 28 czerwca, z pośrodka szarej, mętnej mgły — czytamy w jednym z opisów, — ukazała się szpica oddziału Szaramowicza. W umysły powstańców wstąpiła otucha i orzeźwienie. Cieszono się, że Szaramowicz, którego liczono na kilkuset ludzi, rozstrzygnie losy. Jakież bolesne było rozczarowanie, gdy spostrzeżono garstkę tylko ludzi, znużonych i prawie całkiem bezbronnych. Połączywszy oba oddziały z sobą, otrzymano ledwo 250 ludzi“. Teraz w dodatku wybuchło nieporozumienie między dowódcami: Co robić? Celiński chciał ciągle dążyć ku granicy chińskiej, Szaramowicz upierał się, aby stawić czoło oddziałowi Rika i rozbić go. Rik wiódł 400 żołnierzy z łańcuchem tyralierów na przodzie. Gdyby spotkały go plutony polskie, sformowane przez Szaramowicza, — pięć po 50 ludzi każdy, — bój byłby zażarty, choć o niepewnym rezultacie. Ale Celiński zdołał dwa plutony pociągnąć za sobą, ku Chinom, i osłabił przez to Szaramowicza potężnie tuż przed samą bitwą. Zwyciężono więc łatwo zrozpaczeńców polskich. Poległo 20, reszta w lasy się schroniła. Tymczasem Celiński rozbił swoją setkę na dziesiątki i przedzierał się do Chin. Ale i te dziesiątki pobłądziły w nieznanych lasach.

Tych, którzy nie zginęli tu z głodu, wyłapali buryaci i kozacy. Wyczerpanych głodem pędzono do Irkucka. Śledztwo trwało dwa miesiące. Proces, rzecz w Irkucku niebywała, odbył się publicznie. Cała komisya śledcza, rzecz również niebywała, zasiadła na ławie sędziów. Najwięcej godności wobec sądu wykazał Szaramowicz. Celiński stanął tu złamany. Ośmiu przywódców skazano na śmierć. Szeregowcom powiększono katorgę. Kiedy wyroki poszły do Petersburga do konfirmacyi, a dłużej stamtąd nie przybywały, sądzono powszechnie, iż nastąpi ułaskawienie z okazyi zaślubin następcy tronu z duńską księżniczką, Dagmarą. Nadzieja była płonna. Zatwierdzenie przyszło. Wtedy generał-gubernator syberyjski, ks. Dundukow-Korsakow, zamienił czterem skazanym karę śmierci na dożywotnią katorgę. Szaramowicza, Celińskiego, Kotkowskiego i Reinerta rozstrzelano na przedmieściu Irkucka. Skazani umarli mężnie, wołając pod śmiertelnym słupem: „Jeszcze Polska nie zginęła“!

Taki był tragiczny przebieg, w streszczeniu najkrótszem, nieszczęsnego Powstania za Bajkałem.

A. Wierzynek.

Gustaw Daniłowski. POWIEŚĆ.

LILI.

9

Lili z początku czuła się silnie zażenowana, ale potem obudziła się w niej jakaś zuchwała odwaga, z którą śmiało rozglądała się po sali, jakby chciała powiedzieć:

— Wasze trójkąty są oparte na oszustwie, mój pozbawiony kłamstwa, na prawdziwem uczuciu!

Brunon, który sobie nie zdawał dokładnie sprawy z przyczyn tego zaciekawienia, promieniał z radości, że jego pani czyni tak silne wrażenie, i starał się podnosić jej urodę przez odpowiednie stroje, które nieraz sam dobierał, zdradzając pod tym względem dużo gustu.

Obecnie Lili ubrała się własnym pomysłem w zupełnie gładką, trochę wyciętą, z jedwabnego fularu czarną sukienkę, w której wyglądała dziwnie młodo i dziewczęco. Gdy sprezentowała się Brunonowi, oniemiał z zachwytu, chwycił ją pod łokcie, postawił na stole, odstąpił parę kroków i rzekł:

— Ubranaś, jak noc, a wyglądasz, jak poranek! Czekaj, rosy brak ci, mój kwiecie!

Pobiegł do biurka.

— Masz, udało mi się to kupić!

Rzucił jej na szyję sznur mieniących się w słońcu, jak rosa, pereł.

— Brunonie, to musi bardzo drogo kosztować i po co?

— Tanie nie jest, ale to nie traci wartości. Zresztą, gdzież takie perełki mogą czuć się lepiej, niż zdobiąc twój gors i szyję!

— No, to dziękuję, ale proszę bardzo na przyszłość...

Zrobiło jej się nagle słabo i poczuła lekki atak duszności, do którego się jednak nie przyznała, nie chcąc psuć humoru Brunonowi, który był w szczególnie dobrem usposobieniu, gdyż skończył tego dnia projekt i był ze swej pracy zadowolony.

— Tu będą ulice — pokazywał jej — tu domy, między któremi tworzy się duży plac, nad którym trzeba się naradzić, tu, widzisz, sklepy, a na rogu prawdopodobnie wielka kawiarnia, po trotuarze snują się tłumy ludzi — począł kreślić sylwetki rozmaitych typów, — tu — nakreślił kapelusz z piórem — poważna dama, tu — narysował fertyczne nóżki i wysoko uniesione spódniczki—przystają przed witrynami takie, wiesz, panienki — „wesołe dziewice“.

— Czy to koniecznie być musi?

Zamyśliła się Lili, patrząc na te kobiece figurki.

— Dziwię się, że mówisz o tem z taką swobodą; ja ilekroć to widzę, to mi się robi źle na sercu; gdybym miała władzę, zniosłabym to zupełnie.

— Moje dziecko, zastanawiano się nad tem bardzo poważnie, myśleli i pojedyńczy ludzie i całe stowarzyszenia i nie wymyśliły nic, to od wieków istnieje, jest cechą stałą wielkich miast. Zapewne to nie jest dobre, ale te istoty przecież z czegoś żyć muszą.

— No, tak, ale skoro żyją, to możnaby was opodatkować panowie, i te pieniądze, które dla nich tracicie, wystarczyłyby na założenie jakiejś odpowiedniej instytucyi.

— Bywały i takie pomysły, ale te instytucye odznaczały się taką świątobliwością, taką zawziętością przeciwko amorkowi, że młodym ciężko było wytrwać.

— Niechby był i amor, a choćby nie amor, lecz tylko chwilowe upodobanie, ale nie pieniądze. To jest straszne, gdy zastanawiam się nad drogą, którą kobieta doszła do takiego stanu, do takiego wyzbycia się wszelkiego sentymentu, i myślę, jak okrutnie musiało być sponiewierane jej serce. Czuję jakby pohańbienie całej naszej płci i żal do mężczyzn.

— Mogę cię zapewnić, Lili, że nie mam na sumieniu ani jednej, którąbym pchnął na te tory.

— Ale spotykałeś idące już po tej drodze — odparła poważnie Lili, — ale co tam, objaśniaj dalej.

— To właściwie wszystko, interes jest milionowy, zapaliłem się do niego, nie myśl jednak, by z powodu chęci obłożenia się gotówką, przeciwnie, obstaję i sądzę, że uda mi się wspólników przekonać, iż należy się zadowolnić skromnym procentem, a zrobić istotnie coś dla podniesienia piękności miasta. W tym kierunku działalność nasza nie jest skrępowana, więc działajmy. Teraz kraj nasz jest wyczerpany, wstrząśnienia ubiegłych lat, dawne metody zawiodły. Słyszę, że za kordonem zachodzi jakiś przewrót w pojęciach; z odległości wydaje mi się to dość fantastyczne, choć pociąga, jako konkretny czyn, a nie gadanie, do którego nie mam talentu i straciłem ostatecznie smak wszelki. Do polityki się nie nadaję; gdy przyjdzie co do czego, zapewne mnie nie zabraknie, tymczasem robię to, co mogę i potrafię. Miastu przybywa nowa dzielnica, pragniemy ją utrzymać w naszych rękach, nietylko w rękach naszego kapitału, ale w rękach naszej twórczości artystycznej, i zabudować wszystko w oryginalnym, swojskim stylu. Tyle oto zostało z tych wielkich marzeń, któreśmy niegdyś roili, Lili!

— No, tak — westchnęła — we troje, bo i Stefan przecież, choć on dalej, inaczej może, ale marzy...

— On jest od tego, a ja od roboty — rzekł trochę złośliwie Brunon — a Lili, widząc, że chce jeszcze

coś dodać, położyła mu rękę na ustach, a gdy ją pocałował, powiedziała:

— Winnam, bom zaczęła sama; mówmy dalej o projekcie.

— Bliższych szczegółów dowiesz się na zebraniu. Program przyjęcia: dasz najprzód herbaty, potem po obgadaniu zimne przekąski, a jeśli się dogadamy, to za powodzenie naszych planów wzniesiemy toast szampanem. Zamówiłem ci fryzyera; proszę cię, uczesz się po grecku.

— Greczynki brunetki!

— Nie wszystkie, a Fryne taka złota, jak ty.

— Co za porównanie — wzruszyła ramionami Lili i poszła po zakupy, a Brunon zajął się przygotowaniem notatek.

Zebranie było naznaczone na ósmą wieczór. O wpół do ósmej zjawił się z bukietem dyrektor Załęski, stale podkochujący się w Lili, oficyalny jej wielbiciel, trochę już szpakowaty, o długiej, zmęczonej, mądrej twarzy.

— Przyszedłem zawczasu — rzekł, witając się z Brunonem — złożyć hołd twojej pani i otrzymać od niej tę jedyną tantyemę, jaką otrzymuję za wierną służbę, ucałowanie obu rączek.

— Lili jest zajęta, ale zaraz będzie gotowa — odparł wesoło Brunon.

Po chwili, trochę zarumieniona krzątaniną gospodarską, zjawiła się Lili w całym blasku swej urody.

— Pani droga — wykrzyknął na jej widok zachwycony Załęski — tak wyglądać nie wolno. Doprawdy, pani pięknieje z latami i chce nas chyba zadręczyć. Nie, dziś nic mądrego nie potrafimy uradzić, bo straciny głowy.

— Pan jest bardzo dla mnie łaskaw — płoniła się lekko Lili, ale wobec tego, co pan mówi, nie pozostaje mi nic innego, jak usunąć się z zebrania!

— Ależ przeciwnie, przeciwnie, pani będzie naszem natchnieniem. Ośmieliłem się przynieść trochę kwiatów. W sklepie wydawały się piękne, ale tu, przy pani, straciły urok.

— Dziękuję, cudowne! — odparła Lili, podając mu obie ręce.

Załęski ucałował je i rzekł:

— Dlaczego nie jestem architektem lub choćby pokojowym malarzem, miałbym może choć szczyptę nadziei. Teraz nie pozostaje mi nic innego, jak prosić o serdeczną życzliwość i przyjaźń.

— Ależ i owszem — uśmiechała mu się mile Lili, pozwalając przytrzymać dłużej dłonie.

— W takim razie pani nie odmówi—wydobył jakiś przypominający sfastykę złoty żetonik — to jest amulet, którym nabył, bawiąc na Wschodzie; ma przynosić szczęście; mnie nie przyniósł, może przyniesie pani, lub komu z jej blizkich.

— Panie Zygmuncie — rzekła Lili szczerze wzruszona, — stawia mnie pan w kłopotliwem położeniu; nie przyjąć nie mogę, a odwdzięczyć się nie potrafię.

— Bardzo łatwo pani potrafi, jeżeli zechce: proszę wyfotografować się tak, jak pani stoi, w dużym formacie i jeden egzemplarz przeznaczyć dla mnie.

— Skoro pan sobie życzy, a Brunon zgadza...

— Ależ choćby cały tuzin — odezwał się Brunon, przeglądając dalej swe notatki.

— Widzi pani, jaki hojny... Dziwię ci się, że nie każesz zrobić portretu,—mam tu jednego młodego malarza, dyablo zdolny.

— A wiesz Lili, że Zygmunt ma racyę...

Przerwał mu dzwonek i po chwili zjawili się bracia Gessnerowie, a wkrótce wszyscy znaleźli się w komplecie i, po krótkiej towarzyskiej rozmowie, na propozycye Załęskiego, Brunon zabrał głos.

Dalszy ciąg nastąpi.

TEODOR JESKE-CHOIŃSKI.

Katarzyna Sforza-Riario.

Kobieta-władca.

5

IV.

Ubiegło kilka miesięcy od tragedyi forlijskiej.

Katarzyna siedziała w swojem *studio* (pracowni) w pałacu, zbudowanym dla niej przez znakomitego architekta, Jerzego Marchissi.

Siedziała na złoconem krześle, z głową podniesioną, oparta plecami o tylną poręcz. O kilka kroków od niej stał burmistrz miasta, Mikołaj Tornielli.

— Wiadomo wam zapewne, że nowy Ojciec Święty potwierdził prawa Riariów do Forlì i Imoli, nadane im przez papieża Sykstusa IV, i ustanowił mnie opiekunką moich dzieci aż do ich pełnoletności — mówiła głosem ostrym. — Jestem więc odtąd waszą panią, władczynią, której woli, rozkazom powinniście ulegać. Każcie to obębnić na rynku i ulicach, aby poddani moi wiedzieli, komu winni posłuszeństwo. Gdyby się który z nich ośmielił oprzeć moim rozporządzeniom, rozprawi się z nim kat Maciej Babone. Znacie mnie już dobrze. Wiecie, że umiem ukarać buntowników. Możecie odejść!

Burmistrz zgiął się w pałąk, skłonił aż do ziemi i wyszedł tyłem. Gdy się drzwi za nim zamknęły, zaśmiała się Katarzyna przytłumionym, drwiącym śmiechem złego ducha, który przestraszył zabobonnego człowieka.

— Kanalia! — myślała. — Tylko strach przed moją bezwzględną pięścią trzyma poddanych w karbach posłuszeństwa.

Obrzuciła swoje *studio* badawczym wzrokiem. Ze złoconego sufitu spoglądały na nią brylantowe oczy złotych wężów (herb Sforzów) i czerwone róże (herb Riariów). Obrazy znakomitych mistrzów zdobiły ściany, perski dywan zakrywał marmurową posadzkę.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Lubiła przepych i sztukę.

Uderzyła pałką w tablicę bronzową. Na znak ten ukazał się podkomorzy.

— Sekretarza potrzebuję, a po nim komendanta zamku — rozkazała.

Sekretarzowi podyktowała kilka listów do: Florencyi, Wenecyi i Bolonii. Miodowem słowem zręcznego pochlebstwa, dobrze obmyślonego uwielbienia, smarowała miłość własną Medicich, doży i Bentudoglia. Polityka nakazywała jej zjednać sobie ich przyjaźń i pomoc na wypadek, gdyby Rzym wyciągnął rękę po jej hrabstwo. Wprawdzie wyprosił kardynał Julian della Rovere, brat cioteczny jej męża, u papieża dla Riariów dalsze panowanie nad Imolą i Forlì, ale Innocenty VIII był śmiertelnym, a jego następca mógł cofnąć rozporządzenie swojego poprzednika. Trzeba się więc było zabezpieczyć przeciw możliwej zmianie położenia.

Załatwiwszy się z listami, przyjęła Katarzyna komendanta zamku.

— Doniesiono mi, że kapelan Fra Archangelo Giorgi, zmienił mieszkanie, jakie przeznaczyłam dla niego, i przeniósł się do innych komnat. Czy to prawda? — zapytała.

— Fra Archangelo skarżył się na wilgoć w przeznaczonych dla niego komnatach. Obawiając się o swoje zdrowie, wybrał sobie lepsze, suche mieszkanie — odpowiedział komendant.

— Jeśli mu się przezemnie wybrane mieszkanie nie podobało, obowiązkiem jego było zgłosić się do mnie o pozwolenie przeprowadzki. Ja tylko rozkazuję w Forlì, czego powinniście się nauczyć. Gdyby Fra Archangelo nie był duchownym, kazałabym go z miasta wypędzić. Zapiszcie sobie głęboko w pamięci, kapitanie, że bez mojego pozwolenia nie wolno na zamku przesunąć nawet krzesła z jednego miejsca na drugie. O wszystkiem, o najmniejszym drobiazgu, powinnam wiedzieć. Doniesiono mi także, że wasi żołnierze romansują po nocach w mieście.

Rozkazuję wam, abyście od dnia dzisiejszego zamykali bramy zamku po zachodzie słońca i nie wypuszczali nikogo na miasto. Surowo ukarzę każdego, ktoby ten rozkaz lekceważył. Możecie odejść!

Stary żołnierz, znalazłszy się na kurytarzu, splunął.

— Ładnie zaczynają się te babskie rządy — myślał. — Jeśli tak dalej pójdzie, nie będzie nam wolno jeść i spać. Moim chłopcom zazdrości buziaka zalotnej dziewuchy, a sama zerka pożądliwem okiem na każdego urodziwego panicza. Patrzcie ją! Święta, a jakże...

Katarzyna, pyszna, władzy chciwa, gwałtowna i energiczna, zawarła w istocie z Amorem ścisłą przyjaźń. Zaledwie uspokoiła się po tragedyi forlijskiej, upatrzyła sobie amanta. Był nim piękny Antoni degli Ordelaffi, potomek tyranów Imoli, która należała do jego rodu przed jej oddaniem pod rządy Riariów.

Nieprawa córka nieprawej miłości obywała się bez sakramentu legalnego małżeństwa. Zdjęły z niej przecież te niewygodne dla zmysłowej, lubieżnej natury pęta pojęcia Renesansu, który ogłosił wszech i wobec „wolną miłość".

Codziennie spotykała się Katarzyna za miastem z urodziwym Antonim degli Orlaffi, aby w zacisznym, w ogrodzie ukrytym domku, wypocząć w jego objęciach po trudach rządzenia.

I dziś dosiadła po obiedzie konia i pogalopowała do swojego raju. Wracając pod wieczór do miasta, spotkała na drodze młodego chłopca. Jego świeża, zdrowa uroda zwróciła jej uwagę.

— Kim jesteś, ładny chłopcze? — zapytała.

— Jakób Feo, brat Tommasa, ma zaszczyt przedstawić się Magnificencyi — odpowiedział chłopiec.

— Brat mojego zacnego, uczciwego kasztelana? Bardzo mi przyjemnie poznać brata mojego obrońcy.

Uderzyła konia ostrogami i znikła w mrokach wieczoru.

A jej pożądliwa zmysłowość podszeptywała:

— Gdy ci się Ordelaffi sprzykrzy, rzucisz się w objęcia tego chłopaka. Młodość kocha silniej, goręcej, namiętniej...

Za mało było jej temperamentowi jednego kochanka. Lubiła ciągłą zmianę...

V.

W fraucymerze Katarzyny powstał ruch niezwykły. Damidżele badały swoje woreczki, obliczając ich brzęczącą zawartość. Która z nich nie posiadała znaczniejszej sumy, pożyczała od drugiej, a wszystkie trajkotały, jak młyn wodny: ja kupię maść na zmarszczki, ja na wybielenie mojej zbyt czerwonej twarzy, ja na usunięcie pieg, ja na żółknące zęby i t. p.

Bo oto przybyła do Forli żydówka rzymska, Anna Hebrea, mistrzyni w sztuce upiększania kobiety i odświeżania więdnących wdzięków.

Wezwała ją hrabina wielce dbała o swoją urodę i toaletę. Do trzydziestki już się zbliżała, a gorący klimat włoski nie sprzyjał długiej młodości. Jej, posłusznej służebnicy Amorka, nie wolno się było starzeć.

Zamknąwszy się w swojem *studio* z Hebreą, słuchała z wytężoną uwagą jej rad i wskazówek.

— By się pozbyć zmarszczek, trzeba wytrzeć miękkim, najlepiej aksamitnym gałgankiem, czoło, fałdy pod oczami i dokoła ust moją czarną maścią aloesową — wykładała Hebrea. — Moja biała maść, zmywana „słodką wodą" codziennie rano przed śniadaniem, bieli cerę twarzy i ręce.

Na wszystkie braki urody niewieściej miała żydówka lekarstwo. „Uczoność" jej opłacała się obficie. Za każde pudełeczko maści albo flaszeczkę „słodkiej wody" kazała sobie płacić dukata.

Skwapliwie zapisywała hrabina recepty Hebrei. Wyczerpawszy temat urody, zapytała:

— Czy masz jaki środek na zdobycie trwałej miłości młodego, ładnego chłopca?

— Mam środek niezawodny — rzekła żydówka. — Dość nosić przy sobie kawałek magnesu, aby okuć w kajdany psiej uległości najlekkomyślniejszego bałamuta. Magnes przyciąga wszystko.

— Potrzeba mi jeszcze przepisu na truciznę, któraby nie zabijała natychmiast, lecz w przeciągu dwóch, trzech tygodni.

I na to „lekarstwo" miała Hebrea receptę.

Na kurytarzu czekały na nią niecierpliwie damidżele. Otoczyły ją, wzięły pod ręce i zaprowadziły do swojej sypialni.

Hebrea uczyła dworzanki sztuki upiększania, a hrabina włożyła do woreczka kawałek magnesu, kazała sobie osiodłać muła i pojechała do Ravaldino.

Dalszy ciąg nastąpi.

Ty, Wy i Pani.

(Z repertuaru Akademii Kabaretowej).

Komedya estradowa w 3 zmianach a 2 krzesełkach.

Osoby:
On.
Ona.

Zmiana I.

On i Ona wchodzą na estradę, każde z krzesełkiem w ręce, i siadają naprzeciw siebie.

On (dyskretnie a pożerająco). Pani...

Ona (przekornie). Pani, pani?! Kto słyszał! Gdy dwoje z sobą sympatyzuje — — — Od dnia dzisiejszego żadnego „panie" i „pani"!

On. Żadnego!

Ona. Żadnej „pani Heleno"!

On. Żadnego „panie Henryku"! Precz z panowaniem!

Ona. Precz! Poprostu, po koleżeńsku: wy!

On. Brawo, po koleżeńsku: wy!

(Chwila. Przysuwa się bliżej. Gorąco): Słuchajcie — — —

Ona (odsuwa się, zlekka stropiona). Do jutra wy...

On (wstał). Do jutra... *(Chce wziąć ją za rękę, ona spiesznie przechodzi na drugą stronę).*

Zmiana II.

Ona (zasiada na jego krzesełku).

On (przeszedł na drugą stronę. Kłania się. Po chwili): Dzień dobry, wy!...

(Rozmach słabnie). Wy...

Ona (niepewnym tonem). Dzień dobry... Wy...

On (siadł. Po chwili, zgoła już bez rozmachu). Cóż wy — — —

Ona (podobnie). A w — — —

Milczenie.

On (zrywa się). Nie, to nie ma zupełnie sensu! To „wykanie się", czy jak tam — — — No, bo co to jest? Na wy można najwyżej powiedzieć do kolegi w biurze: „Słuchajcie, dajcie mi 10 rubli". Ale nigdy do kobiety: słuchajcie, ja w... *(Czułe oczy).* No, czy nie mam racyi? Gdy dwoje z sobą sympatyzuje, czyż nie prościej jest — — — Jednem słowem, precz z wy! Od dnia dzisiejszego niema was! Jesteśmy my! My: to jest ja i... *(zawahał się)* i... *(coraz czulej)* ty...

Ona (porwana). Tak: ty! Od dnia dzisiejszego: ty!... *(Wstała, wyczekująca...).*

On (jurnie). Więc... ten... Ty!... Do jutra! *(Kłania się, przechodzi).*

Ona (zawiedziona...). Do jutra... *(Przechodzi również).*

Zmiana III.

On (podchodzi nieśmiało).

Ona (wyciąga skwapliwie rękę na jego powitanie). Jak się m — — —

On. Ja... ten... *(Chrząka).* A t — — —

Ona. Ja — — — *(Spuszcza oczy).*

Milczenie.

On (próbuje podnieść wzrok) Słuch...

Nowe milczenie, trochę dłuższe.

Ona (podobnie). Henr — — —

Trzecie milczenie, jeszcze dłuższe.

On (chrząka).
Ona (również).
On (wstaje).
Ona (wstaje również).
On (siada).
Ona (również siada).

Najdłuższe milczenie.

Ona (zrywa się z determinacyą). Panie Henryku!...

On (zerwał się również, twarz mu się rozjaśniła). Pani Heleno!

Ona. Ja myślę, że to nie ma sensu: niech zostanie między nami, jak było!... Mówmy sobie — — —

On. Mówmy! Niczegom bardziej nie pragnął!...

Ona. Bo czy nie można być dla siebie sympatycznymi na pan i pani?

On. Ależ można! Więcej niż można, pani Heleno!!... Pani Heleno!... *(Coraz goręcej).* Pani He — — Pani mi jest sympatyczną, bardzo sympatyczną, więcej, niż sympatyczną!... Ja panią lubię, bardzo lubię!!... Mam wrażenie poprostu, że pani mi jest kolegą! I miałbym ochotę powiedzieć: słuchajcie...

Ona. ...dajcie mi 10 rubli?

On. Nie! Dajcie mi... rączkę do pocałowania! o, tak! *(Całuje).* Dalibóg, więcej jeszcze, pani Heleno! Czuję, że i „wy" mi nie wystarcza. Mam ochotę prosić o coś, co można tylko na ty! Heleno! daj mi twoich ust!...

Ona (słania się). Henryku!...

On (wniebowzięty). Kocham cię, Heleno! Moje „ty", „wy" moja, moja „pani"!...

Ona. Panie mój!!!...

Tulą się do siebie, poczem chwytają każde swoje krzesełko i znikają z estrady szczęśliwi...

B. Gorczyński.

Z krwawego szlaku.

Rok temu rzucił mnie los na krwawy szlak wojenny; mieszkałem tuż prawie przy pozycyi. Huk armat, suchy trzask karabinów przerywał mi sen, pożarne łuny rozwidniały noce... Tuż przy mnie pławiły się w krwi własnej tysiące ludzi, tuż przy mnie drugie tysiące przelewały morze łez po spalonych chatach, po zniszczonej pracy lat nieraz dziesiątków.

I oto dzisiaj znów się tam znalazłem, ujrzałem połyskujące fale Pilicy, te same fale, po których w roku zeszłym płynęły smugi krwi, te same fale, w nurtach których pławiły się trupy ludzkie...

Ujrzałem tych chłopów naszych, którzy jako bezdomni tułacze, wypędzeni z własnych sadyb, z własnego zagona, do braci po chleba kęs chodzić musieli, po żebraczy grosz... I widziałem te pola krwią wojaków i krwią chłopów nasiąkłe...

Pomnę: w wiosce Ż. granaty burzyły chaty, ludzie uciekać musieli. Uciekł i dziedzic, ale przed wyjazdem ogłosił, że kto chce, może pola jego orać i zasiewać... I zasrebrzyły się pługi na opuszczonej, pańskiej roli; a wkoło padały granaty, sypały się szrapnele. I oto uderzony odłamkiem pocisku runął, jak podcięty dąb, stary Wojciech, krwi kałuża rozlała się na zaorany zagon. Przybiegli sąsiedzi, chcą ratować, wtem drugi pocisk i siedem trupów chłopskich legło rzędem przy sobie...

Hej, rozzłociły się snopy zbożne na zlanej chłopską krwią ziemicy, rozszumiały się wielką pieśnią miłości, nadzieją plonów obfitych, plonów z chłopskich piersi wyrosłych... Wkrótce błyśnie sierp w ręku córy, co ciąć będzie kłosy zbożne, z piersi ojcowych wyrosłe.

Niestety!...

Pan naczelnik straży ziemskiej przed chatę Michała S. zajechał, przy nim strażnicy i kozaki.

— A ty czemu pola swego nie niszczysz, ha? Prykaz czytał?

— Nie bede, panie nacelniku, pola swego niszcuł, choćby sto prykazów było. Nie na tom ci jo orał i obsiwał, by teraz chlib boski tratować; a toć Bóg z nieba pierunby we mnie rzucił, a toć ta matka-zimia by mnie przekliła. Nie bede, panie nacelniku, boskich darów plugawił...

— Ty się buntujesz przeciw woli carskiej, mużyk proklatyj?! Bieri jeho, bratcy!

Ze świstem padły knuty kozacze na obnażone plecy chłopa, co nie chciał plugawić darów matki-ziemi...

I oto znowu jestem w tych stronach i w pamięci stają mi wspomnienia, jak widma ciężkie i ponure.

I zdaje mi się chwilami, że oto znowu gdzieś w dali huczą działa, i zdaje mi się, że znów za chwilę nad głową moją z chichotem piekielnym poczną pędzić granaty i szrapnele, jak wtedy...

Nie, niema obawy, cisza króluje nad polami walk niedawnych, spokój rozpostarł dobroczynne skrzydła.

* * *

Cała okolica przedstawia straszny obraz zniszczenia.

Rodzinne moje Nowe-Miasto leży w gruzach, okoliczne wioski, bliżej Pilicy, zniknęły z powierzchni ziemi. Jeno nazwy, jeno nory i budy, w których gnieżdżą się ludzkie cienie, wskazują, iż tu były ludne i bogate sadyby ludzkie.

Smutkiem i grozą wieje od tych zgliszcz, smutkiem i grozą wieje od tych pól, na których rozłożyły się mogiły krzyżykami znaczone, ale największy smutek, ale największa groza-upiorzyca ukryła się w głębi chłopskich źrenic i wygląda z nich i skomli... Nędza rozpostarła skrzydła nad brzegami cichych fal Pilicy.

Gdzieniegdzie wśród rumowisk wystrzelają świeżo ciosane białe belki: wieś poczyna się odbudowywać.

Ponoć tam w Warszawie mądrzy panowie radzą gorąco nad odbudowaniem tej naszej wsi polskiej. Kupy spisali drogocennego dziś papieru, tysiące podali projektów i planów, ale od Domaniewic do Warszawy kęs drogi daleki, pieniędzy a czasu zmitrężyćby trzeba, przepustkę wykupić, a tu nikt z radą przyjechać nie chce, choć ludzkie życzliwe i mądre słowo przydałoby się bardzo, choć Bogiem a prawdą więcej tu pomocy pieniężnej, niż planów, potrzeba... Więc, że to Warszawa z pomocą i projektami daleko, buduje się chłop nasz sam, jak umie i jak go stać. Niech tam se dobrzy panowie piszą i gwarzą, choć to niewiele pomoże, ale i nie zaszkodzi nikomu...

Więc odbudowywa się pomaleńku nasz chłop, jak może i jak umie kleci starym obyczajem chatę: sam sobie budowniczym, majstrem i robotnikiem.

Pokłonił się pięknie panu „kumyndantowi", napocił się niemało, nim objaśnił, o co chodzi, ale wreszcie dano mu część okopów po „rusku" i oto dobył drzewa na budowlę, dobrego drzewa, bo moskale nie szczędzili lasów, kiedy o budowę okopów chodziło. I oto martwy pień sosnowy, z za którego słano kul tysiące i w którym więzły kule, zasiądzie poważnie, jako „zręb" chaty wieśniaczej...

Po polach chłopskich chodzę, po tych samych,

„...które deptał
„i ogniem orał wróg"...

Gdzieniegdzie wyrwa głęboka świadczy, iż tu ugodził pocisk armatni, gdzieniegdzie samotna mogiła, rękoma pacholąt wiejskich krzyżykiem oznaczona i darnią zieloną okryta, — rowy strzeleckie krętą wstęgą się wiją, a nad tem wszystkiem uwijają się kruki, czarne kruki...

Ale mało już pól pustych: szmaragdem ozimin przykryło się łono ziemi, jeno ten szmaragd jakiś mi dziwny, niezwyczajny, jakby ociekły krwią... Może mi się to wydaje tylko, bom tak dawno zieleni nie widział...

Tu i tam za pługiem wlecze się chłop. W wiosennem słońcu przegląda się stal oracza: to snopem iskier pryśnie ku górze, to kryjąc się w miększ gleby, o nierozerwaną skorupę granatu zadzwoni i ogień wykrzesze, to kością ludzką na czarnej glebie zabieli... Tak igra dziecię na łonie matki ukochanej, kiedy dawno jej nie widziało, nie czuło słodkich jej uścisków, nie grzało się jej ciepłem serdecznem.

Ale smutkami poryło się czoło chłopa-oracza: kraje łono tej ziemicy, ale czem je będzie siał? Czem nagość matki-karmicielki okryje i z czego będzie żył do przyszłych plonów?...

O, dawno nie pukał głód do wiejskich chat, najstarsi nie pomną gospodarze.

„Od powietrza, głodu, ognia i wojny
zachowaj nas, Panie"

łkały często przeczuciem złowieszczem nawiedzane piersi chłopskie i przyszła wojna i ogień, i przyszedł głód i „powietrze".

Widzę chłopskie dzieci jakoś leniwie wedle baraków brodzące: wydęte ziemniakami i kwaśnym żurem brzuszyny dźwigają przed sobą, jakaś bladość liczka im pokrywa, z chabrowych ocząt zapadłych kędyś w doły wyziera zaród chorób...

Mnożą się mogiłki na zapuszczonych i kulami porytych cmentarzach, „powietrze" zgarnia ofiary, by się wojnie zadość stało, by pełną była ta ofiara ziemi polskiej, by odkupienie Tej, „co nie zginęła", niezawodnem się stało.

Cierpliwie znosi krzyż niedoli chłop nasz polski. Poczucie obywatelskiego obowiązku wypełnia z granitu kutą pierś, ani ogień, ani mór nie zdołały go powalić, nie pękło mu serce, kiedy chudoba jego z dymem pożarnym ku niebu się wzbijała, nie struchlało w nim serce, gdy „złe powietrze" żonę i dzieci mu zabiło. Ale troska bruzdy mu ryje po czole, że ziarna mu na siew nie starczy, że zorana gleba chwastami porość może, a tu kraj potrzebuje chleba...

Panowie, dobrzy warszawscy panowie, ziarna dobądźcie na siew dla chłopa, dajcie mu karmy dla gleby, pomóżcie nie słowem, ale czynem, bo tu o chleb chodzi!

A i „złe powietrze" ukrócićby trzeba, lekarzy na wieś posłać, zaradzić, żeby nie wzrastały mogiłki na cmentarzach wiejskich, żeby nie spływały ze łzami oczy matek...

* * *

Do stołecznych murów wracam, a ciągnie mnie coś nazad, nawołuje: szumią poważnie ciche fale Pilicy, kłonią się i szepcą coś tajemniczo przydrożne drzewa, z szerokim gestem nawołuje pole...

W górze zakołysały się bociany. Krążą nad zgliszczami chat spalonych, klekocą, dziwują się...

Wiosna idzie, nasza polska wiosna pod chłopskie wraca strzechy!...

A strzechy spalił wróg...

Stef. Kotaniec.

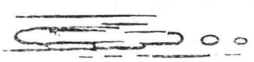

E. L. Voynich.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

BĄK.

24 POWIEŚĆ.

W głosie jego dźwięczały łzy i Bąk uczuł, że serce w nim taje. Jeszcze chwila, a byłby się zdradził. Lecz nagle przypomniał sobie cyrk wędrowny i rozczulenie ominęło go.

— Kimże jestem, aby Pan wysłuchał moich modłów? Zbrodniarz i wyrzutek! Gdybym mógł, na wzór Waszej Eminencyi złożyć u Jego tronu ofiarę świątobliwego żywota, duszy bez skazy, lub ukrytej hańby — —

Montanelli odwrócił się szybko.

— Ja mogę jedno tylko złożyć w ofierze — rzekł — złamane serce!

* * *

W kilka dni potem Bąk wrócił do Florencyi dyliżansem z Pstoi. Udał się wprost do Gemmy, ale nie zastał jej w domu. Zostawił jej kartkę z wiadomością, że przyjdzie nazajutrz rano, i poszedł do siebie, pragnąc gorąco, by nie zastać znów Zity w swoim gabinecie.

Czuł, że jej zazdrosne wymówki będą mu dziś nie do zniesienia.

— Dobry wieczór, Bianko — rzekł, gdy służąca otworzyła mu drzwi. — Czy pani Reni była tu dzisiaj?

Bianka popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Pani Reni? To pani Reni wróciła, proszę pana?

— Co to znaczy? — zapytał marszcząc brwi.

— Bo proszę pana, pani Reni wyjechała zaraz po odjeździe pana, nic nie mówiąc, dokąd, i zostawiła wszystkie rzeczy.

— Zaraz po moim odjeździe? Co? Przed dwoma tygodniami?

— Tak, proszę pana, tego samego dnia i wszystkie rzeczy leżą porozrzucane... Całe sąsiedztwo o tem gada.

Bąk zawrócił od drzwi i poszedł spiesznie do mieszkania Zity. Szafy były pootwierane, ale wszystkie podarunki, jakie od niego dostała, leżały nietknięte. Natomiast nie było żadnego listu, ani najmniejszego świstka.

— Przepraszam pana — rzekła Bianka, wsadzając głowę przez drzwi — przyszła jakaś stara kobieta.

Odwrócił się z gniewem.

— Czego chcesz? Czego się za mną włóczysz?

— Jakaś stara kobieta chce się z panem widzieć.

— Powiedz jej, niech sobie idzie. Nie mam czasu.

— Proszę pana, ona tu przychodziła co wieczór dowiadywać się, kiedy pan wróci.

— Zapytaj, czego chce. Albo nie; sam się z nią rozmówię.

Stara kobieta czekała u niego w sieni. Odzież jej była bardzo uboga, a twarz śniada i pomarszczona, jak zimowa gruszka. Na głowie miała jaskrawą chustkę, związaną w rodzaju turbana. Gdy Bąk wszedł, wstała i utkwiła w nim czarne, przenikliwe oczy.

— To pan jest, ten kulawy pan — rzekła, oglądając go krytycznie od stóp do głów. — Przynoszę panu wiadomość od Zity Reni.

Nic nie mówiąc, wprowadził starą do gabinetu i zamknął drzwi, by Bianca nie mogła słyszeć.

— Proszę usiąść. Powiedźcie mi teraz, kto wy jesteście?

— To nie pana rzecz, kto ja jestem. Przyszłam panu powiedzieć, że Zita Reni porzuciła pana dla mego syna.

— Dla — waszego — syna?

— Tak panie. Jeżeli pan nie pilnujesz kochanki, skoro ją masz, to nic dziwnego, że ją inni biorą. Mój syn ma krew w żyłach, nie bawarkę, pochodzi z romańskiego ludu.

— Ach! jest cyganem! Zita zatem wróciła do swoich?

Stara popatrzała na niego z pogardliwem zdumieniem. Widocznie ci chrześcianie nie mają w sobie dość męskości, by się gniewać, gdy ich znieważą.

— A jakżeby ona mogła z takim jak pan wytrzymać? Nasze kobiety mogą się wam oddawać na czas jakiś, gdy im przyjdzie fantazya, lub gdy im dobrze zapłacicie; ale romańska krew wraca do romańskiego ludu.

Twarz Bąka pozostała chłodną i spokojną.

— Czy Zita poszła z obozem cygańskim, czy też poprostu żyje z waszym synem?

Stara wybuchnęła śmiechem.

— Chciałbyś pan odnaleźć ją i namówić do powrotu? Zapóźno, panie; trzeba było o tem wcześniej pomyśleć.

— Nie, chciałbym tylko wiedzieć prawdę; jeżeli wam to wszystko jedno.

Cyganka wzruszyła ramionami.

— A więc prawda jest taka, że Zita spotkała mego syna na drodze, nazajutrz po wyjeździe pańskim, i przemówiła do niego po romańsku, a on widząc, że chociaż taka wystrojona, jest z naszego rodu, zakochał się w niej, jak to nasi mężczyźni kochać umieją, i wziął ją do naszego obozu. Tam opowiedziała nam swoje zmartwienia i biedactwo tak płakało i desperowało, aż żal było patrzeć. Pocieszaliśmy ją, jakeśmy mogli; aż wreszcie zdjęła z siebie swoje piękne szatki i przywdziała strój naszych dziewcząt, i oddała się memu synowi, żeby z nim żyć na zło i dobro, zawsze razem. On jej nie powie: „Nie kocham cię“ albo „Mam co innego do roboty“. Gdy kobieta jest młodą, potrzeba jej mężczyzny; a jakiż z pana mężczyzna, że nie potrafisz nawet pocałować ładnej dziewczyny, gdy ci ręce na szyję zarzuci?

— Mówiliście — przerwał Bąk, — że przynieśliście mi od niej jakieś zlecenie?

— Tak; zostałam się, gdy obóz odszedł, z umysłu, żeby to panu powtórzyć. Zita kazała panu powiedzieć, że ma dosyć waszych wymuskanych pań i panów i ich rybiej krwi, i że chce wrócić do swoich i być wolną. „Powiedzcie mu, matko“, rzekła „że jestem kobietą i że go kochałam i że dlatego nie chcę być dłużej jego nałożnicą“. I dziewczyna dobrze zrobiła, że sobie poszła. Niema w tem nic złego, jeżeli sobie zarobi trochę pieniędzy swoją urodą; na to i uroda jest; ale romańska dziewczyna nie powinna kochać nikogo z waszej rasy.

Bąk powstał.

— Czy to wszystko? — rzekł. — Zatem powiedzcie jej, proszę, że dobrze zrobiła i że jej życzę szczęścia. To wszystko. Dobranoc.

Stał zupełnie spokojny i nieruchomy, póki ogrodowa furtka nie zamknęła się za starą cyganką. Wtedy usiadł i zakrył twarz rękoma.

A więc jeden więcej policzek! Czyż życie nie zostawi mu jednej szczypty osobistej godności, jednego atomu dumy, któregoby nie podeptało i nie zmieszało z błotem? Wycierpiał chyba tyle, ile tylko człowiek wycierpieć może; serce jego było jedną raną, dusza jedną blizną, oplwaną pogardą i szyderstwem. A teraz ta cygańska dziewczyna, którą wziął z gościńca, nawet ta, kopnęła go.

Szatan zaczął skomleć i dobijać się do drzwi i Bąk wstał, by mu otworzyć. Pies wpadł do pokoju z szalonemi oznakami radości, ale widząc, że pan jakiś nieswój, położył się na dywanie u jego stóp i wsunął swój chłodny nos w jego bezwładną rękę.

W godzinę potem Gemma zapukała do frontowych drzwi. Nikt jej nie otworzył. Bianca widząc, że Bąk nie woła o obiad, poszła do sąsiadki na gawędkę, zostawiwszy drzwi otwarte i światło w sieni. Gemma, poczekawszy czas jakiś, zdecydowała się wejść i poszukać Bąka, otrzymała bowiem bardzo ważną wiadomość od Bailey'a, którą należało udzielić mu niezwłocznie.

Zapukała do drzwi gabinetu i głos Bąka odpowiedział z wewnątrz:

— Możesz odejść, Bianco. Nie będę jadł obiadu.

Otworzyła drzwi pocichu. W pokoju było ciemno, ale światło lampy palącej się w sieni ukazało jej Bąka siedzącego z głową zwieszoną na piersi i psem uśpionym u jego nóg.

— To ja — rzekła miękko.

Zerwał się z krzesła.

— Gemmo!... Gemmo!... Och! jak ja cię pragnąłem widzieć.

I nim zdołała przemówić, klęczał przed nią, kryjąc twarz w fałdy jej sukni. Suche, konwulsyjne łkanie, stokroć gorsze od łez, wstrząsało jego ciałem.

Gemma stała nieruchoma. Nie miała dla niego żadnej rady, żadnej pomocy, i to było najokropniejszem ze wszystkiego. Musiała stać biernie i patrzeć; ona, która byłaby oddała życie, byle mu oszczędzić cierpienia. Och! gdyby tylko mogła otworzyć mu ramiona, przytulić go do serca; osłonić bodaj własnem ciałem od wszelkiej dalszej krzywdy i złego; wtedy z pewnością odzyskałaby dawnego Artura; wtedy dzień by zaświtał i cienie rozproszył.

Ale, nie! nie! Czyż on kiedykolwiek zdołałby przebaczyć? Alboż to nie ona wtrąciła go w to piekło?— ona, swoją własną, prawą ręką!

Więc dała chwili przeminąć. Bąk powstał szybko i usiadł przy stole, zakrywając oczy ręką i przygryzając usta, jakgdyby je chciał przegryść nawskroś.

Wreszcie podniósł głowę i rzekł spokojnie:

— Przestraszyłem panią. Przepraszam.

Wyciągnęła do niego obie ręce.

— Drogi! — rzekła. — Czyż nie jesteśmy do tyla przyjaciółmi, byś mi mógł trochę zawierzyć? Co ci jest?

— Och! drobna, osobista przykrostka. Niewarto wspominać.

— Posłuchaj — rzekła, ujmując jego konwulsyjnie drżącą rękę w obie dłonie. — Nie wdzierałam się nigdy w nieswoje sprawy i tajemnice. Ale skoro, z własnej woli, dałeś mi już tyle dowodów zaufania, nie ustawaj na tej drodze, postępuj ze mną, jakgdybym była twoją siostrą. Zachowaj maskę na twarzy; jeżeli ci z tem lepiej; ale nie noś maski na duszy dla własnego dobra.

Pochylił nizko głowę.

— Musisz być wyrozumiałą dla mnie — rzekł. — Nie szczególnego miałabyś we mnie brata; ale gdybyś wiedziała. — — Myślałem, że oszaleję przez ten tydzień. Przypomniała mi się Południowa Ameryka... I czasem jakiś szatan wstępuje we mnie i — —

Urwał.

— Pozwól mi podzielić twoją troskę — szepnęła Gemma.

Jemu głowa opadła na jej ramię.

— Ręka Pana zaciężyła nademną — rzekł głucho.

CZĘŚĆ TRZECIA.

ROZDZIAŁ I.

Przez kilka tygodni Gemma i Bąk żyli w takim wirze podniecenia i przepracowania, że nie mieli czasu myśleć o swoich osobistych sprawach. Gdy broń znalazła się już bezpiecznie na terytoryum papieskiem, pozostało stokroć trudniejsze i niebezpieczniejsze zadanie: poprzenosić ją z górskich kryjówek do różnych miejscowych środowisk, a stamtąd do poszczególnych wiosek. Cała okolica roiła się od szpiegów, i Domenichino, któremu Bąk powierzył amunicyę, wyprawił do Florencyi umyślnego posłańca z naglącą prośbą o pomoc lub o przedłużenie terminu. Bąk zapowiedział mu, że wszystko musi być skończone do połowy czerwca, i Domenichino tracił poprostu głowę, bo wszystko, począwszy od złych dróg, utrudniających przewożenie ciężarów, a kończąc na bezustannych zwłokach, spowodowanych koniecznością uniknięcia podejrzeń, uniemożliwiało pospieszną robotę.

„Jestem pomiędzy Scyllą a Charybdą“ pisał. „Nie śmiem działać szybko z obawy odkrycia, a działając powoli, nie zdążę na czas. Albo przyślij mi kogoś do pomocy, albo daj znać wenecyanom, że nie będziemy gotowi aż w początkach lipca“.

Bąk zaniósł ten list Gemmie, a podczas, gdy go czytała, siedział ze ściągniętemi brwiami, patrząc w ziemię i głaszcząc kota pod włos.

— To źle — rzekła Gemma. — Nie możemy dać czekać wenecyanom przez trzy tygodnie.

— Oczywiście, że nie możemy; to nie ma sensu. Domenichino po...o...owinien był to z...z...zrozumieć. To my musimy stosować się do wenecyan a nie oni do nas.

— Domenichina winić nie można; zrobił widocznie wszystko, co było w jego mocy, a niemożliwości żądać od niego nie sposób.

— To nie wina Domenichina, lecz zło leży w tem, iż on jest tylko jeden. A tam potrzebaby jednego odpowiedzialnego człowieka, któryby strzegł składów, a drugiego, któryby doglądał transportów. Domenichino ma słuszność; potrzeba mu pomocy.

— Ależ jaką pomoc możemy mu dać? Nie mamy nikogo we Florencyi, któregoby można posłać.

— Więc ja s...s...sam muszę jechać!

Gemma oparła się o krzesło i popatrzyła na niego z namarszczoną brwią.

— Nie; to niemożliwe; byłby to zbyt ryzykowny krok.

— A jednak trzeba go postawić, skoro niema innego sposobu wybrnięcia z tej trudności.

— Musimy koniecznie znaleźć inny sposób. Żebyś pan tam miał znów jechać? To wykluczone.

Wyraz zaciętego uporu pojawił się na ustach Bąka.

— Ja tego wcale za wykluczone nie uważam.

— Będziesz pan uważał, jeżeli się choć chwilę zastanowisz. Niema pięciu tygodni, jak wróciłeś; policya nabrała podejrzenia co do owego pielgrzyma i szuka go po całej okolicy. Tak; wiem, że pan umiesz się świetnie charakteryzować; ale pomyśl, ilu ludzi cię widziało, jako Diega i jako górala; a tego, że pan upadasz na nogę i masz bliznę na twarzy, ukryć nie można.

— Wielu kulawych chodzi p...p...po świecie.

— Tak, ale niewielu jest w Romanii, którzy prócz tego mają szramę na policzku, lewą rękę okaleczoną i błękitne oczy przy takiej śniadej cerze i czarnych włosach.

— Oczy to najmniejsze; można je przyciemnić belladonną.

— Ale z innemi rzeczami nie pójdzie tak łatwo. Nie, to niemożliwe. To by się równało świadomemu wyzywaniu śmierci. Zaaresztowanoby pana niewątpliwie.

— Lecz ktoś musi pomódz Domenichino'wi.

— Nic byś mu pan nie pomógł, gdyby cię schwytano w tak krytycznej chwili. Aresztowanie pana pogrążyłoby całą sprawę.

Ale Bąk nie dawał się przekonać i spierali się jeszcze długo, nie mogąc dojść do żadnego porozumienia. Gemma poznała, jak niewyczerpanem było źródło spokojnego uporu w tym charakterze, i gdyby nie chodziło o rzecz tak ważną, byłaby ustąpiła z pewnością dla świętego spokoju. Tu jednak nie mogła ustąpić; praktyczne korzyści podróży Bąka nie były według niej warte narażania się na tak ogromne niebezpieczeństwo i zdawało jej się, prócz tego, że ta jego chęć wyjazdu nie wypływała tyle z przeświadczenia o politycznej konieczności, ile z jakiejś chorobliwej żądzy igrania z niebezpieczeństwem. Takiej zachciance trzeba się było oprzeć. Wyczerpawszy wszystkie argumenty, chwyciła się tej ostatniej broni.

— Bądźmy szczerzy — rzekła— i nazywajmy rzeczy po imieniu. Panu nie chodzi o rzecz samą. To pańska osobista słabostka do — — —

— To nieprawda — przerwał namiętnie. — Domenichino jest dla mnie niczem. Nie dbam, czy go jeszcze kiedykolwiek w życiu zobaczę.

Urwał nagle, spostrzegłszy, że się zdradza. Oczy ich spotkały się, lecz usta nie wymówiły nazwiska, które oboje mieli na myśli.

— Nie chodzi mi o... o Domenichina — wybełkotał wreszcie — ale wiem, że cała sprawa przepadnie, jeżeli mu się nie pospieszy z pomocą.

Dalszy ciąg nastąpi.

Z literatury.

Bieniowski.

Wyobraźnia twórcza Wacława Sieroszewskiego przenosi nas na dalekie, śnieżne pola Kamczatki. Zaczarowany kraj strasznej bajki patrzy na nas złowrogiem spojrzeniem nieubłaganego i bez litości żywiołu. Wyje wicher, huczą lodozwały, śmierć szczerzy zęby.

Na tle tej nieubłaganej przyrody pokazuje Sieroszewski życie kolonizacyjne rosyan, też bezlitosne a pełne instynktów złych i pierwotnych. Poza ludnością tubylczą, płacącą „jasak" władzom, mieszkają tu jeszcze osiedleńcy, ludzie-niewolnicy, wyzuci z wszelkich praw. Władze wyzyskują ich też na swoją korzyść. Rozpusta, naigrawanie się z ludzi, gry hazardowe i pijaństwo święcą tu swój ohydny sabbat. Zresztą działo się to jeszcze w dodatku za panowania „najmiłościwszej carowej Katarzyny II". Pierwotność obyczaju i twarda despotya rządu w one czasy wyglądała na regułę. Ludzie z wyrwanemi nozdrzami, poobcinanemi uszami, ze znakami wypalonemi na czole i twarzy nie należeli wtedy do okazów rzadkich. Syberya roiła się od takich nieszczęśliwców, nie mówiąc o Kamczatce, gdzie wysyłano co najgorszych przestępców.

Takim najgorszym przestępcą był w oczach carowej Katarzyny generał Konfederacyi Barskiej, August Beniowski. Nienasycona w swojej zemście śle go na Kamczatkę. Długo poniewierają jego hrabską dumę po etapach. Lata całe wiodą pod eskortą żołnierzy przez syberyjskie rozłogi. Zdawało się, że zniszczą w nim wszelkie człowieczeństwo. Stanie się podobnym tysiącom nieszczęsnych zesłańców, żyjących tylko jałmużną litości, wegetujących z dnia na dzień. Polak nie ugina się; jak o sprężynę, odbija się wszelka ohyda. I nie zamiera w nim marzenie o wolności. Nie ginie myśl o powrocie do ojczyzny. Tą swoją ideą żyje i ta idea prowadzi go do zwycięstwa.

Powieść Sieroszewskiego rozpoczyna się od wylądowania Beniowskiego na Kamczackie pobrzeże. Dzięki fałszerstwu papierów zostaje on w mieście stołecznem Kamczatki, Ochocku. A znów przez to, że ocalił okręt od rozbicia, na którym jechał, naczelnik kraju, p. Niłow, zaszczyca go specyalnemi względami. Niebawem zaprosi go na nauczyciela do swoich dzieci. Wreszcie uwolni Beniowskiego ze stanu niewolnictwa. Beniowski buduje szkołę, czyni różne drobne usługi naczelnikowi kraju, czem zaskarbia sobie jego względy. Rozmiłowana przytem Nastazya, córka kacyka kamczackiego, tak rozgorzała, tak rozpłomieniła się w swoich uczuciach, że przekonywa opornych rodziców, iż sądzono jej, by graf Beniowski został jej mężem.

Beniowski wraca do względnego szczęścia. Wydostał się z poniżenia. Czyż zapomni jednak ten człowiek o nędzy swoich współtowarzyszy niewoli? Czy zadowoli się łaskami kacyka kamczackiego i zamieni miłość ojczyzny na serce cudnej Nastazyi?

Beniowski pracuje nad rozwiązaniem sobie rąk, by wyprowadzić wszystkich wygnańców z domu niewoli. Na tle szarych, zrezygnowanych egzystencyi jest jak płomień kuszący a piękny w swojej odwadze. Pomawiają go wygnańcy chwilami o zdradę; zarzucają, że myśli tylko, by przez wydanie ich w ręce sprawiedliwości rosyjskiej osiągnąć dla siebie łaski. Beniowski, jak rycerz bez skazy — umie niewiernych skarcić a złych ująć w cugle. Straszną i odpowiedzialną prowadzi robotę. Lada drobnostka, może siebie zdradzić i towarzyszy. Podziemną a wytrwałą, spiskową niże sieć. Przytomnością umysłu i odwagą usypia czujność władz. Przychodzi więc dzień wolności, gdy na zdobytym okręcie odpłynie wraz z wygnańcami na ocean, na wolność.

Zwyciężył. Wywiódł słabych i zrezygnowanych ze strasznych szponów rosyjskiej sprawiedliwości. Odważnym Bóg sprzyja!

Powieść Sieroszewskiego jest gloryfikacyą odwagi, wytrzymałości i męstwa. Beniowski w koncepcyi Sieroszewskiego stał się bohaterem, pracującym dla lepszego jutra. I nietylko on, lecz wszyscy ci, co przez zuchwały spisek budzili męstwo i siłę wytrwania wśród towarzyszy niedoli, urośli w tej perspektywie powieściowej Sieroszewskiego na godnych podziwu i szacunku ludzi.

Środowisko rosyjskie na Kamczatce maluje Sieroszewski dosadnie, szeroko: wszystko to bowiem pijacy, łapownicy, złodzieje, wyzyskiwacze. Interesujące więcej są te nieliczne kartki w powieści, które są poświęcone plemionom tubylczym oraz przyrodzie. Ludzie w „Beniowskim" przeważnie traktowani są sylwetkowo. Psychologicznie rozwija się tylko jedna Nastazya i przez to miłość jej przekonywa delikatnym sentymentem. Beniowski Sieroszewskiego, gdyby opuszczono niektóre, zresztą nieliczne, sceny, mógłby się stać też ciekawą powieścią dla starszej młodzieży.

E. Czekalski.

Paradnik dla samouków.

Ze wzruszeniem otwiera się tę trzecią edycyę „Poradnika dla samouków". Ile godzin na kołach tajnych młodzieży szkół średnich poświęcono ongiś, za czasów Apuchtina czytaniu i dyskusyi na temat prac, zawartych w tym poradniku? Uzupełniał on i prostował nasze wykształcenie, pobudzał do myślenia i uczył samodzielności w pracy intellektualnej. Stary, pierwszy tom zawierał matematykę i nauki przyrodnicze. Zmienione warunki życia rozszerzyły też ramy redakcyjne „Poradnika". Obecny pierwszy tom poświęcony jest wyłącznie matematyce. Pióra takich specyalistów, jak: Z. Janiszewski, S. Kwietniewski, W. Sierpiński, S. Zaremba oraz S. Mazurkiewicz, informują, pouczają, wykładają. Na wstępie zaś zamieszczono informacyjny artykuł wydawców oraz inicyatorów tego wydawnictwa, pp. St. Michalskiego i Alek. Höflicha, o „zmianach w wydaniu nowem". Ludziom tym należy się bezwzględny szacunek. Umieli oni, idąc z prądem czasu, wytknąć „poradnikowi" drogę pożytku społecznego, trzymając sztandar nauki wysoko, gdyż, jak mówi, St. Michalski: „Pierwsze wydanie powstało z głodu oświaty". Dziś sprawę tę ujmujemy szerzej—dziś „coraz więcej rozpowszechnia się zrozumienie roli nauki w życiu społeczeństwa, coraz częściej podnosi się znaczenie twórczej myśli naukowej dla odrodzenia narodowego". „Chcąc żyć — trzeba tworzyć".

Ta zasada twórczości została przeprowadzona przez wszystkie prace, zawarte w tomie obecnym. Jak zaś wzniośle myśli redakcya o zadaniach człowieka, mówi dr. Jan Łukasiewicz, prof. uniwersytetu warszawskiego, w rozprawie o „Nauce": „Ze studyum historyi nauk zaczerpnąłem przekonanie, że kto nie ma zachwytu dla sztuki i piękna, kto jest nieczuły na ból i krzywdę, komu brak poczucia religijnego, słowem, kto, żyjąc tylko trzeźwym rozumem, ma ubogie życie duchowe, ten nigdy zapewne nie stworzy nic wielkiego ani w obserwatoryum astronomicznem, ani w pracowni chemicznej, ani w żadnej dziedzinie wiedzy naukowej".

Poradnik ten oby znów stał się przyjacielem młodzieży, żądnej wiedzy i czynu. Biblioteki wszystkich szkół średnich i wyższych powinny go mieć w swoich zbiorach.

Dziecko i przestępstwo.

Pod tym tytułem wyszła świeżo dużej objętości praca adw. przys. Aleksandra Mogilnickiego, wydana przez Kasę im. Mianowskiego. Książka zawiera rozdziały następujące: Pojęcie przestępstwa. Dziecko. Stałe wzrastanie przestępczości dzieci. Dawne i nowe poglądy. Kongresy międzynarodowe. Dzieci państwa w Australii. Amerykańskie sądy dla nieletnich. Walka z przestępczością nieletnich w Anglii. Habeas corpus dzieci. Nowe ustawy francuskie. Wychowanie publiczne na Węgrzech. Ustawa o wychowaniu przymusowem dla Kroacyi, Slawonii i Dalmacyi. Ustawa o postępowaniu z dziećmi zaniedbanemi w Norwegii. Następne rozdziały traktują o walce z przestępczością w Szwecyi, Danii, Belgii, Holandyi, Szwajcaryi, Włoszech, Niemczech, Austryi, Rosyi i Polsce.

Myśl przewodnia autora da się streścić w jego konkluzyi:

„Walka z przestępczością dzieci stała się jedną z części składowych ogólnej ochrony dzieci; idea celowego zastosowania środków wychowania i prewencyi odniosła świetny, choć jeszcze nie ostateczny, tryumf nad ideą kary — odwetu"... „Wielkiemi krokami zbliżamy się do chwili, kiedy żadne dziecko nie będzie już siedziało na ławie oskarżonych".

Psychologia i Medycyna.

Julian Ochorowicz wydał olbrzymi tom prac swoich p. t. „Psychologia i Medycyna". Tom ten zasługuje, by zainteresowano się nim szerzej. Jasność i przystępność wykładu czyni, że nawet laik z pożytkiem wielkim książkę tę przeczyta. Ochorowicz o książce swojej mówi: „Jest to praca heretycka, nietylko ze stanowiska Medycyny, w której autor jest prawie wyłącznie samoukiem, ale nawet i ze stanowiska Psychologii, w której jest samoukiem w znacznej części". Nie należy jednak samouctwa Ochorowicza rozumieć ujemnie. Tak mówi człowiek, który w nauce zawsze odważnie, zbyt odważnie szedł po linii tylko swoich zainteresowań intelektualnych.

Za pozwoleniem niemieckiej cenzury wojennej.

Klisze i druk wykonane w Zakładach Graficznych Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.